

Michał Gołębiowski: Hipis imieniem Aldous

Radosne ożywienie ducha, które rozpały „Drzwi percepcji”, a które rozciągało się na ruch hipisowski w latach sześćdziesiątych, a nawet New Age w latach osiemdziesiątych, to paradoksalny przejaw zwątpienia – pisze Michał Gołębiowski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Huxley. Nowoczesność jako dystopia”.

Nie byłoby nazwy *The Doors*, gdyby przeszło dziesięć lat przed uformowaniem słynnej rockowej grupy Aldous Huxley nie opublikował rozprawy *Drzwi percepcji*. Wcześniej ukazała się również *Filozofia wieczysta*, traktat, który rzuca nieco światła na eksperymenty autora z meskaliną. Rozumiemy, że cel był znacznie ambitniejszy, niż można by sądzić. Chodziło o stworzenie nowego rodzaju mistyki.

Huxley nie dożył rewolucji psychodelicznej w Stanach Zjednoczonych, choć jako mieszkaniec Kalifornii, wszakże epicentrum zachodniej kontrkultury, mógł przed śmiercią przeczuwać dokonujący się właśnie radykalny zwrot obyczajowy. Mówienie o rewolcie seksualnej końca lat sześćdziesiątych tak, jakby chodziło wyłącznie o kwestie wyzwolenia życia płciowego, to zbyt uproszczenie. Od samego początku chodziło tu o znacznie głębszą przemianę, jaka miała zachodzić w myśleniu o człowieku. Centralnym pojęciem były niezmiennie „drzwi percepcji”, które w ten czy inny sposób usiłowano otworzyć. Nowy model obyczajowy był w tym przypadku jedynie ekspresją i przejawem.

A więc przede wszystkim – przejście od racjonalności do irracjonalizmu. Człowiek, o którym pisał Arystoteles, czyli istota rozumna, której podstawowym dążeniem jest poszukiwanie prawdy, stał się odtąd echem naiwnej przeszłości. Już przecież Freud, a przed nim Nietzsche, pokazali, że nie jesteśmy rozumni. Kłębi się w nas zbyt wiele popędów i nieświadomych konfliktów. Nie jesteśmy w stanie również poznać prawdy, o ile ona w ogóle istnieje. Biologia skazała nas na odczucia, punkty widzenia i projekcje, które narzucamy zewnętrznemu światu, sądząc że w ten sposób docieramy do istoty rzeczy.

Huxley podsunął latom sześćdziesiątym receptę na dotarcie do rzeczywistości odsłoniętej, „takiej, jaką jest”. Jest nią otworzenie drzwi percepcji, tak aby wyjść z ciasnego mieszkania wychowania i kultury, a następnie przekroczyć ograniczającą binarność naszego umysłu: dobro i zło, prawda i fałsz, światło i ciemność, a wreszcie – ja i ty. Droga wyzwolenia jaźni wykracza poza te (racjonalne po arystotelesowsku) ramy, kierując nas ku irracjonalizmowi jako realnemu nurtowi życia. Dopiero na tym poziomie możliwa staje się mistyka. Wtedy docieramy do prawdziwego istnienia. Nie kategoryzujemy. Zostajemy zanurzeni.

W ślad za odrzuceniem zachodniego modelu racjonalności szła oczywiście ekstatyczność jako wartość, która wyparła problem tak zwanego celu istnienia. Dotychczasowa kultura Zachodu stawiała przed ludzką egzystencją *telos*. Życie ma swój cel, rozumnie nakreślony, realizujący w stronę dobra i pełni to wszystko, co drzemie w naturze ludzkiej jako potencjalność jego możliwości. Tej celowości służy cała kultura, od wychowania, przez literaturę i sztukę, aż po aktywność fizyczną. Rozpoznawszy naszą własną naturę, w sposób rozumny realizujemy w pełni to, kim jesteśmy w Boskim planie stworzenia.

Kontrkultura odrzuciła tak pojmowaną celowość, aby przedstawić życie jako ekstazę. Egzystencja to taniec Dionizosa. Jest zbyt bogata i nieokiełznana, jak dzika przyroda albo kosmiczna energia, aby można było jej nałożyć jakieś wychowawcze ramy. Zamiast zmierzać w stronę celu życia, lepiej zapamiętać się w ekstazie chwili obecnej. Doskonale oddaje to zresztą rock psychodeliczny, który świadomie przekracza stabilne struktury muzyczne, miesza ze sobą wiele stylów i poziomów odbioru, wprowadza w rytmikę transu. Poznają więc siebie wyłącznie przez zanurzenie w szalonym nurcie. Przekraczam granice percepcji, kiedy zapominam o sobie w tańcu.

I wreszcie trzecie rewolucyjne przeniesienie lat sześćdziesiątych, które polegało na odrzuceniu wszelkiego nadrzędnego wobec człowieka autorytetu, po to, aby pełną wolność złożyć w ręce jednostki.

Znienawidzonym autorytetem reprezentowanym przez figurę rodzica (materialisty, mieszczanina i hipokryty) był nie tylko kodeks moralny lub zorganizowana religia, ale także Bóg rozumiany jako Inny.

Kontrkultura lat sześćdziesiątych nie zawsze była jednak zorientowana

ateistycznie. Można wręcz powiedzieć, że wiele jej przejawów zdradza wręcz pewnego typu gorączkowe odrodzenie religijne. Chodziłoby więc o coś innego, aniżeli materializm niedopuszczający do żadnej rzeczywistości wyższej.

Narkotyki i wolna miłość były jedynie sposobami na otworzenie drzwi percepcji do wyższych poziomów życia. Zwłaszcza narkotyki, ponieważ wolna miłość wiązała się raczej z porzuceniem własności i wyłączności jako przejawów wewnętrznego zniewolenia, ograniczenia, mieszczańskiej hipokryzji. Ale także ona, w gruncie rzeczy, ukazuje pęd ku wyższym stanom świadomości. Aby przekroczyć wyłączność relacji, należało przecież wyjść poza ego, aby następnie bez ograniczeń rozlać swoją miłość po całym wszechświecie.

Zerwano z Kościołem jako zorganizowaną religią – to oczywiste. Przecież wszystkie instytucje, a zwłaszcza te, które opierają się na absolutnym przekazie, zostały poddane w stan oskarżenia. Za wielkimi ideami kryją się zwykle wielkie uzurpacje. Zbawienie i łaska – to tylko narzędzia sprawowania władzy. Ale odrzucono także zupełnie transcendentny Absolut. Zbyt mocno kojarzył się z władzą totalitarną. W rzeczywistości jedynym moralnie dopuszczalnym Bogiem jest Bóg we mnie. Już nie ja naprzeciwko Niego, ale ja i On jako jedność. Zresztą kiedy przekroczy się racjonalność, aby zanurzyć się w mistyce wszechbytu, wówczas zatarte zostaną także granice między człowieczeństwem i boskością.

Drzwi percepcji bez wątpienia utorowały drogę amerykańskiej kontrkulturze. Sam Huxley, urzeczony „sakramentalnymi wizjami” oraz „czystą estetyką”, do końca swojego życia nie rozstawał się z meskaliną. Można by wręcz sądzić, że cały ten eksperyment stał się zarzewiem odrodzenia pierwotnego instynktu religijnego w epoce, która jeszcze nie pozbierała się po tragedii dwóch wojen światowych. Jednocześnie należałoby zapytać, czy mistycyzujący witalizm dzieci kwiatów i samego Huxleya nie był w istocie przejawem wielkiej melancholii. Kalekie i nietrwałe formy religijności, które bazują na stymulowaniu ośrodków nerwowych w mózgu – to nie dowód na ożywienie religijne, lecz na kryzys.

Stąd następująca diagnoza: radosne ożywienie ducha, które rozpały *Drzwi percepcji*, a które rozciągało się na ruch hipisowski w latach sześćdziesiątych, a nawet New Age w latach osiemdziesiątych, to paradoksalny przejaw zwątpienia. Jeżeli nie jesteśmy w stanie dotrzeć do nadprzyrodzonego, to oczywiście pozostaje nam stymulacja tego, co przyrodzone. Wizje mogą być wspaniałe. Lecz ostatecznie jesteśmy w nich zdani wyłącznie na potencjał natury.

Michał Gołębiowski

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
